Z rodzinnego albumu. Najdłuższe wakacje.

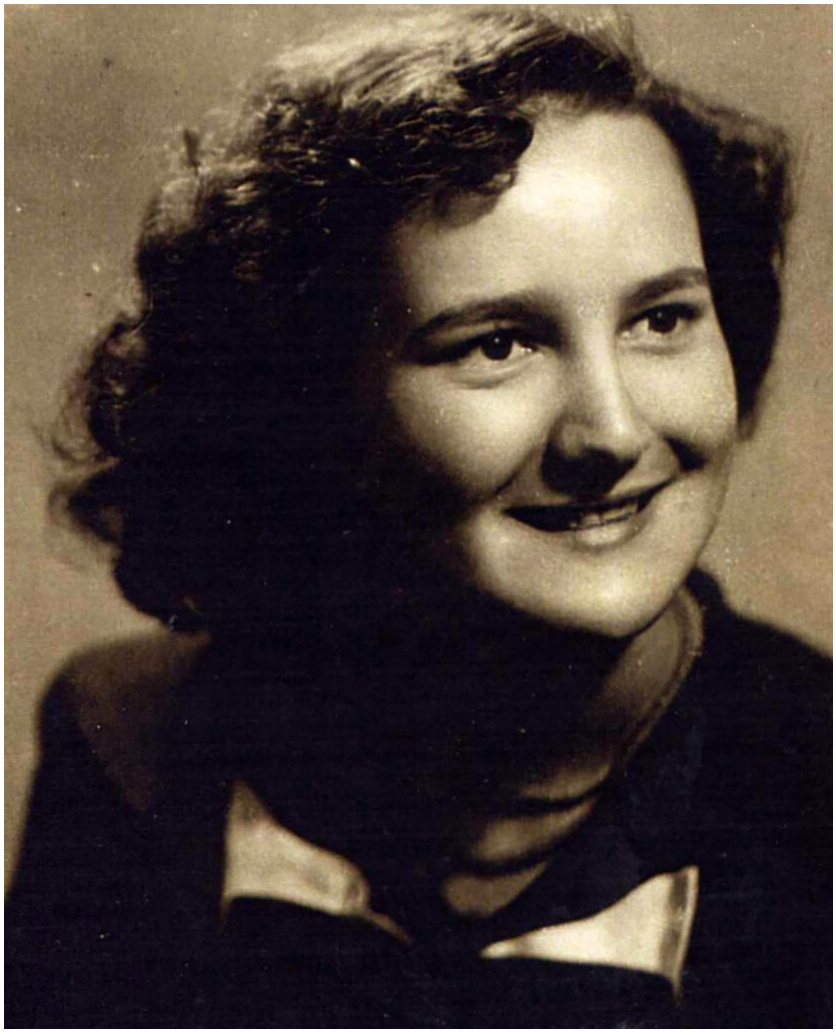

Teresa Fabijańska, maturzystka, 1951 r., fot. arch. autorki

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

Spoglądam wstecz z perspektywy pięćdziesięciu pięciu już lat na ostatni rok szkoły średniej ogólnokształcącej i okres ten jawi mi się ponuro. Im bliżej matury, tym gorzej. Pierwsze dwa lata były normalne: pierwsza i druga klasa gimnazjalna z programem opartym na przedwojennym. W trzecim roku znalazłam się nagle w klasie dziewiątej, bo właśnie wprowadzono zreformowaną po sowiecku jedenastolatkę. Żeby rachunek się zgadzał, mój rocznik repetował drugą klasę, młodsze koleżanki tymczasem nas dopędziły. W rezultacie ja uczyłam się 12 lat łącznie ze szkołą podstawową, a roczniki młodsze tylko 10. Wszystko było postawione na głowie. Historię zaczynałyśmy trzy razy od Piastów i nigdy nie dojechałyśmy do rozbiorów. Historyczka była z przypadku lub po linii partii, bo ograniczała się do dyktowania nam konspektu narzuconego przez kuratorium czy ministerstwo. To były same hasła w telegraficznym skrócie brzmiące dla nas podobnie, jak zaklęcia. Jakże zazdrościłam bratu Juliuszowi, który miał szczęście być uczniem prof. Michała Pieszki, wspominanego już przeze mnie wcześniej, znakomitego pedagoga i znawcy pasjonującej historii i geografii. On uczył chłopców bez podręczników, ale za to jak!

Szkoła średnia to taki okres w życiu młodego człowieka kiedy chłonie się to, co podane w sposób atrakcyjny i odrzuca wszelkie nudy, choćby najmądrzejsze. Dużo zależy od pedagoga – porwie, zapali do przedmiotu, czy zohydzi. Ja musiałam później uczyć się historii sama. Zresztą uczę się jej z pasją po dzień dzisiejszy.

Dwa tygodnie przed maturą wyznaczono nam obowiązkowy egzamin z pięciu przedmiotów tzw. Wszechnicy Radiowej. Kto miał czas tego słuchać? – Audycje nadawane przez kołchoźniki – czyli głośniki radiowe, były nudnymi, suchymi wykładami o kierunku ideologii marksistowskiej, z przekręconymi faktami i zafałszowaną interpretacją, a do tego nadawano je w godzinach, gdy normalni ludzie jeszcze śpią. Do każdego przedmiotu były skrypty, których nie dało się czytać. Papier gorszy od ówczesnego gazetowego, szaro-brudny i nieczytelne odbitki z powielaczy denaturatowych. W dodatku na wagę złota. Zbierałyśmy się więc grupkami w prywatnych domach. U Alisi (Alicji) Treflerówny, gdzie w kwietniu było pioruńsko zimno, u Heli Zawrotniak – strasznie daleko, u Heni Walewskiej lub u Lalki (Ireny) Szomańskiej, gdzie było najmilej. Zawsze gościnny dom z nianią, coś smacznego i kochająca mama. Pewnie uczyłyśmy się i u mnie, ale jakoś tego nie pamiętam. Sześć zaprzyjaźnionych maturzystek. Po tym niewątpliwym stresie, przygotowywałyśmy się już inaczej i do innych przedmiotów bardzo intensywnie, bo czas nam się skrócił.

Do lęku o wiedzę w głowie doszedł strach przed „czynnikiem społecznym”, czyli osobą spoza szkoły, która zasiadała w komisji z ramienia partii politycznej, oceniała uczennicę i miała prawo zadawać pytania z ideologii marksistowskiej – komunistycznej. Małe potknięcie dyskwalifikowało maturzystkę. Pamiętam swój egzamin, podczas którego byłam tak spięta, że mój mózg przestał

myśleć. Na pytanie zadane przez bardzo swobodnego zetempowsca (organizacja młodzieży komunistycznej – ZMP – Związek Młodzieży Polskiej) „czy społeczeństwo ZSRR jest klasowe?" – odpowiedziałam gorąco – skądże!" I otrzymałam długie pouczenie, którego esencję zrozumiałam, że na tym etapie jeszcze jest podział klasowy, ale w przyszłości… Nie umiałam wyobrazić sobie tej przyszłości. Wszak uczono nas o możliwości odwrócenia biegu rzek syberyjskich (ciekawe, że ta bzdura przetrwała aż do Putina, który ogłosił oficjalnie odstąpienie od tego planu). Głoszono nam oczywiście zwycięstwo człowieka radzieckiego nad Ziemią i Kosmosem. Mnóstwo innych rzeczy niemożliwych. Co jednak można zrobić z mózgiem młodego, rozwijającego się człowieka. Tylu uwierzyło i służyło!

***

Do szkolnego okresu w Zamościu muszę dodać coś, czego nie da się zapomnieć. Były to roboty „kołchozowe" zamiast lekcji. Kilka dniówek w roku w porze jesiennej. Wożono nas, dziewczęta otwartymi przyczepami za traktorem lub ciężarówkami do kartofli czy buraków. Państwowe Gospodarstwo Rolne w Jarosławcu odległym o 15 km od Zamościa na wschód, miało wyjątkowo trudne warunki i ciężkie prace np. obdzieranie buraków z liści rękoma w szczerym polu przez 8 godzin z przerwą na posiłek. Łatwiej już wyłuskiwało się kaczany kukurydzy, a najtrudniejsze było zbieranie z pola ziemniaków za koparką. Ziemia tam ciężka,

błotnista, przyczepna. Zawsze wypadła listopadowa aura, której błotne skutki dawało się pokonać tylko w specjalnych gumiakach i w spodniach. Takiej odzieży nie miałyśmy, więc marzłyśmy okropnie. Niszczyłyśmy i tak z trudem zdobyte buty. W nagrodę czekał nas w robotniczej stołówce gorący posiłek – gęsta zupa grochowa z różnymi dodatkami (wsadem mięsnym!) i z chlebem do woli. Nigdy w życiu takiego apetytu nie miałam, a smak wybornej grochówki na wędzonce do dzisiaj pamiętam.

Poznając trud pracy robotnika i chłopa lekko przenosiłyśmy się w świat artystyczny biorąc udział w szkolnych przedstawieniach na scenie „Stylowego" i w auli gimnazjum męskiego.

„Stylowy" to wspaniały gmach dawnego kościoła i klasztoru oo. franciszkanów z poł. XVII w., który przetrwał do 1817 r. mimo kasacji zakonu przez zaborcze władze Austrii, po czym został przeznaczony na magazyn wojskowy z tym, że zabudowania klasztorne i piękną, osiemnastowieczną dzwonnicę rozebrano. Sam kościół przerobiono na koszary. Za wolnej Polski w 1918 r. pomieszczono w tym gmachu Sejmik Powiatowy i Dom Ludowy Polskiej Macierzy Szkolnej. Wnętrze środkowe – nawę kościoła adaptowano na kino-teatr. Tutaj też przed wojną znajdowało się pierwsze, małe muzeum regionalne, po wojnie Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w części zachodniej, a sala duża, przestronna z kuluarami, sceną i obubocznym *foyer* służyła społeczeństwu miasta na wszystkie imprezy kulturalne. Tak było

do lat dziewięćdziesiątych, gdy o gmach upomnieli się bezprawnie usunięci oo. franciszkanie i go odzyskali. Dzisiaj jest tam kościół. Dla mnie był to szok. Raz byłam tam wewnątrz i nie mogłam się modlić. Przypomniała mi się pantomima J. Bayera „Wieszczka lalek" i „Laleczka z saskiej porcelany" Anny Dąbrowskiej reżyserowane przez p. Reginę Cieślakową. A w tytułowej roli Danusia Kuraho-Skraho, utalentowana wokalnie i choreograficznie, miękka jak guma i zręczna, jak primabalerina. Byłam markizą w różowej krynolinie i jasnej peruce (ja, czarna z natury) z francuskimi loczkami, zupełnie odmieniona. Tańczyłyśmy gawota i menueta w cztery pary, same dziewczęta. Moim chłopcem była Lalka (Irena) Szomańska nieco wyższa i smukła. „Ach, co za gracja, jaki wdzięk!" – śpiewał chór. „Kaida z nich inna tuualetta, parole d'honeur, to jak we śnie…".

Normalnie „Stylowy" był kinem i chodziło się na wszystkie ciekawsze filmy oraz na obowiązkowe koncerty „Artosu" w ramach wychowania muzycznego. Pamiętam, kiedyś wyświetlano „Halkę" wg. Moniuszki i film ten był dozwolony od lat 18-tu. Żeby kupić bilety trzeba było okazać legitymację, kasa młodszym nie sprzedawała. Podrobiłyśmy więc legitymacje, na szczęście ważność ich już się kończyła. Nie wolno nam było chodzić na ostatni seans o 20-ej. Spotkana na ulicy młodzież mogła być legitymowana, a konsekwencje wynikające z odebrania legitymacji i oddania jej do Dyrekcji szkoły nie rokowały niczego miłego. Dzisiaj wydaje się to policyjnym rygorem, jednak nie było

nam z tym źle, a ileż bezpieczniej. Szkoda, że zostało to zniweczone ułudą źle pojętego słowa „wolność”, „luz”. Zdeprawowano młodzież, dobre zamieniając złem.

Dwie maturzystki, Teresa Fabijańska (z lewej) z Lalką (Ireną) Szomańską w parku w Zamościu, 1951 r., fot. arch. autorki
***

Do szkoły chodziłam pieszo ok. 2 km w jedną stronę, ale ja tę drogę pokonywałam dwa lub trzy razy dziennie: na 8-mą, zawsze jednakowo, na lekcje i powrót ok.14-ej do 15-ej na obiad zawsze rodzinny, zawsze przygotowany przez kochającą mamę i spożywany bez pośpiechu, w dobrej atmosferze przyjacielskiej rozmowy z rodzicami. Potem biegłam na popołudniowe zbiórki harcerskie, próby przedstawień lub zebrania Koła Zainteresowań, które ktoś mądrze wymyślił dla rozwoju intelektualnego bardziej indywidualnego, świetne *antidotum* na coraz brutalniej i wszechobecnie ingerującą w życie szkoły i poszczególnych uczennic politykę. Koła te miały różny profil, ale zdecydowanie dominował kierunek humanistyczny. Należałam do Koła Filozofów. Pierwszy referat, jaki sama wymyśliłam i napisałam, nosił tytuł „Duch grupy" – bardzo interesujące pojęcie *stricte* filozoficzne. Nieco później założyłam Koło Miłośników Słowackiego dla przeciwwagi założonemu w liceum męskim Kołu Miłośników Mickiewicza. Rozpoczęła się szlachetna rywalizacja, bo poprzez wiedzę wyczytaną i napisaną udowadnialiśmy, który z wieszczów był większy dla narodu polskiego. W ruch poszły opracowania prof. Kleinera, Chrzanowskiego i świeżo wydanego Jastruna. Długie cytaty z dzieł obu poetów służyły do podtrzymania stanowiska. Myślę, że wiele nam to dało,

poszerzyło horyzonty. Wszystkie dzieła Juliusza Słowackiego były w domu, uratowane przez Witka przed spaleniem na stosie w Hrubieszowie na początku wojny. Tak Niemcy niszczyli polską kulturę. Cała Miejska Biblioteka poszła na stos.

Gdy przyszedł maj i czerwiec biegałam jeszcze na wieczorne nabożeństwa do św. Katarzyny. Skąd brałam tyle energii? – nie było czasu na odpoczynek, polegiwanie z książką w ręku. Tę zawsze brałam, gdy kładłam się spać i po paru stronicach słodko zasypiałam. Przez to bieganie kilometrami za mało czytałam literatury pięknej. Ledwie nadążałam z lekturami, a że te były dobrane tendencyjnie, odrzucałam je już z góry uważając, że nie są warte mojego czasu. „Opowieść o prawdziwym człowieku", „Matka" Gorkiego, „Dziewczęta z Nowolipek", „Grypa szaleje w Naprawie" – prześlizgnęły się przez mój umysł, jak dopust Boży. Nic z nich, prócz tytułów, nie pamiętam. Jedyny dzień wolny w tygodniu to niedziela, którą zaczynałam mszą św. w kościele szkolnym, potem tradycyjny spacer ulicą Akademicką, spacer po parku z koleżankami, czasem i z kolegami. Pamiątkowe fotografowanie, dużo śmiechu, błyskotliwe, mądre rozmowy i powrót do domu na obiad. Po południu spotkania towarzyskie u koleżanek i wczesnym wieczorem byłam już w domu. Kiedy odrabiałam lekcje; nie pamiętam. A przecież dawałam korepetycje z języka polskiego i z francuskiego młodszym koleżankom. Nawet zdarzyła mi się nagroda od rodziców moich „uczennic" w postaci pieniędzy, słodyczy, czy kwiatów. Te

pieniądze były pierwszymi zarobionymi przeze mnie cierpliwością.

Matura jakoś przeszła. Pierwszy w życiu bal do świtu w upalny czerwiec 1951 r. pamiętam, jakby to było wczoraj. Miałam nową i najmodniejszą sukienkę z białej żorżety w drobne, czerwone kropki. Przedłużony, dopasowany karczek, wycięcie w *caro*, dół szeroki, marszczony na biodrach z wypuszczoną riuszką, małe bufki. Czułam się świetnie, bawiłam nieźle i o wschodzie słońca odprowadzana przez swojego „obtupywacza" Rucia – Henryka Jakubca, podziwiając zjawiskowe o tej porze dnia niebo, szłam ku nowej, wierzyłam, że świetlanej przyszłości.

***

Chciałam studiować geografię na lubelskim UMCS-ie (Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej). Wypełniłam papiery, oddałam do sekretariatu szkoły, skąd miały być przesłane na uniwersytet. Taka wtedy była procedura. Sądzę, że jednak nigdy nie ujrzały dziennego światła, a tym bardziej w Lublinie. Miałam przecież opinię „czarnej reakcji" i twierdzy nie do zdobycia. I to była prawda. Nawet nie próbowano mnie podchodzić, co czyniono z innymi koleżankami, które nie były zetempówkami. Nie byłam dla nich nic warta. Wiedziałam o tym, czułam to i postanowiłam iść na historię sztuki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Była tam już Ela, moja siostra na polonistyce, właśnie

kończyła studia i był brat Julek na prawie. W ten sposób zagrałam na nosie Dance T., od której opinii składanej na piśmie zależał los nie jednej z nas. Wyobrażam sobie jaką opinię miałam ja, jej była przyjaciółka, z którą rozstała się z powodu politycznego. Nigdy nie zapomnę tego dramatu, jaki rozegrał się między nami w pewien zimowy dzień po feriach świątecznych, gdy zziębnięte na kość podpierałyśmy gorący, ogromny piec na korytarzu szkolnym, przeraźliwie ponurym, jakby zaplanowaną scenerią do naszej rozmowy. Danka właśnie wróciła z obozu ZMP z Lublina i z entuzjazmem, na jaki tylko ją było stać, opowiadała o wspaniałych ludziach – ideowcach komunistycznych, którzy przebudują świat na lepszy, bez religii, bez księży i kościołów, bo to jest „opium dla ludu". Życzyła mi, abym przejrzała na oczy i poszła w jej ślady. Ona chce jechać na studia do Moskwy i zostać wielkim człowiekiem. A ja płacząc, szlochając powiedziałam tylko jedno zdanie: Danka, to koniec naszej przyjaźni, nie będę z tobą siedzieć w jednej ławce ani jednej chwili dłużej. I tak się stało już na zawsze.

Co stało się z tą śliczną, hożą polską dziewczyną, niezwykle uzdolnioną? – A no zdała świetnie maturę, wyjechała do Moskwy. Studiowała chemię na Uniwersytecie Łomonosowa. Tam zakochała się w koledze, Rosjaninie i musiała się z nim rozstać, ponieważ Rosjanom nie wolno było żenić się z cudzoziemkami, a może tylko z Polkami. Tego nie wiem dokładnie. W każdym razie przeżyła dramat i rozczarowanie, bo chłopiec rozpłynął się jak

we mgle. Przeżyła wstrząs, gdy zmarł jej bóg Stalin. A co musiało się dziać w jej ideologicznym wnętrzu, gdy za chwilę okazało się, że to największy zbrodniarz w całym, komunistycznym molochu, jakim był wtedy ZSRR. Wyrzucono go z mauzoleum – przepięknego, modernistycznego, marmurowego grobowca Lenina, pod którym stały najdłuższe kolejki świata, by przez moment spojrzeć na oblicze tego, który świat przewrócił do góry nogami. Stalin został początkowo umieszczony obok Lenina i było dwóch bogów do oglądania, ale po odbrązowieniu pochowano go cichutko pod murem Kremla pod czarną, granitową płytą, na której napisano jedynie: Josip Wisarionowicz Stalin i lata życia. Tyle. I nie ma już tutaj ogonka chętnych do oddania czci. Lenin wiecznie żywy.

Co ta Danka musiała tam przeżyć, ona taka płonąca żagiew. Nigdy nie zazdrościłam jej sukcesów w szkole, chociaż trochę rywalizowałyśmy wcześniej, za czasów harcerskich, gdy była gorliwą katoliczką, żeby nie powiedzieć bigotką, i zapaloną harcerką. Wszak składałyśmy przyrzeczenie harcerskie na Boga i honor Ojczyzny. No, ale jeśli się zamienia Boga na bóstwo, to w środku chyba wali się wszystko. Współczuję jej .

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.

*

Poprzednie części wspomnień:

> Pierwsze lata po wojnie – Academia Zamoscensis

> Powrót ojca z niewoli

Zobacz też:

> Historia w karetach zaklęta